NIWA
TYGODNIK POLSKI

Rok I. | Kurytyba, dnia 10. Października 1912 r. | Nr. 2.

Za wydawców: *Dr. Szymon Kossobudzki.* Redaktor: *Wojciech Szukiewicz.*

CZY POWINNIŚMY SIĘ W BRAZYLJI WYNAARADAWIAĆ?

Gdyby można było zebrać wszystkich w Brazylji mieszkających Polaków w jedno jakieś miejsce i zapytać ich, dlaczego kraj opuścili i tak daleko aż za może przyjechali, usłyszelibyśmy niewątpliwie jedną tylko odpowiedź: przyjechaliśmy, bośmy przyjechać musieli, bo w starym kraju było nam za ciasno, bośmy nie mogli znaleść dla siebie i swojej rodziny dostatecznej ilości chleba powszedniego, bośmy nie chcieli razem z dziećmi zginąć głodową śmiercią. Zapewne znajdzie się szczupła garsteczka takich, których ze starego kraju wygnały jakieś ciężkie przejścia rodzinne albo wypadki polityczne, ale tych jest ilość tak mała, że właściwie w rachubę ich brać nie należy, a zresztą i oni odpowiedzieliby także na powyższe pytanie: musieliśmy przyjechać do Brazylji, bośmy w starym kraju dłużej pozostawać nie mogli, dobrowolnie bowiem nikt nie opuszcza kraju, nikt nie emigruje za morze.

I nikt zaprawdę ojczyzny bez żalu nie opuszcza, nikt rodziny, przyjaciół i znajomych dla przyjemności nie rzuca, nikt wyjeżdżając z kraju nawet na stałe nie zapiera się swej ojczyzny, swego języka, swej przeszłości historycznej, swej kultury, zwyczajów, obyczajów, słowem tego wszystkiego, co stanowi narodowość każdego człowieka, co mu jest droższe nieraz od życia. Dość już ciężko rzucać strony rodzinne i ojczyste zagony, dość ciężko rozstawać się z przyjaciółmi i dobremi znajomemi, oraz z tym wszystkim, do czego się od dziecka przywykło, ażeby jaszcze odrazu z chwilą wyjazdu ze starego kraju wyrywać sobie z duszy miłość wszystkiego, co jest najdroższe a przedewszystkim kazać zamilknąć swej mowie rodzinnej od kolebki ukochanej, z mlekiem matki wyssanej, przy pomocy której przywykliśmy wyrażać wszystkie swoje myśli i uczucia.

Jeżeli w przeszłości naszej były chwile wielkie i wzniosłe, które nam zaszczyt i chlubę przynoszą, a chwil takich było bardzo wiele, to czyż mamy o nich po opuszczeniu starego kraju zapomnieć? Jeżeli w ojczyźnie naszej mamy ludzi godnych uwielbienia i czci, jeżeli mamy obyczaje i urządzania, które nietylko nie są gorsze od zagranicznych ale nawet o wiele nieraz lepsze, to czy mielibyśmy wyrzekać się ich zaraz po przekroczeniu ojczystej miedzy i znalezieniu się wśród obcych, którzy coraz więcej uczą się nas rozumieć, cenić i szanować, przyznając nam wiele zalet i przymiotów, stawiających nas na równi z narodami o wiele od nas szczęśliwszemi, bo posiadającemi wolność polityczną i obywatelską, której nam dzisiaj w całej pełni wszędzie odmawiają?

Czyż nie byłoby zaprawdę rzeczą dziwną i potępienia godną, gdybyśmy stracili za morzem to wszystko, co z nas każdy tak bardzo ukochał, czego do ostatnich sił w starym kraju bronił, czego nam tutaj w nowej ojczyźnie nikt nie odbiera, za co na żadne cierpienia albo prześladowania narażać się nie musimy? Bo chociaż ojczyzna nasza biedna jest i wszystkim swym dzieciom w dostatecznej ilości chleba dać nie może, to czyż mielibyśmy się jej dlatego wyrzekać i zupełnie o niej zapominać? Wszak nieraz się dzieje, że gdy biedni rodzice choć z wielkim bolem serca rodzonym i ukochanym dzieciom nie mogą dać tego wszystkiego, czego potrzebują, to jednakże mimo to nietylko rodziców tych nie wypieramy się, ale przeciwnie, gdy nas tylko stać na to, dajemy im chętnie utrzymanie aż do samej śmierci otaczając ich miłością i szacunkiem, o ile nań zasługują. Jak nie pięknie robi ten, co się swych biednych rodziców i krewnych wstydzi i wyrzeka, tak brzydko postępuje każdy, kto nawet z konieczności i z biedy ojczyznę opuściwszy wyrzeka się jej, wyrzeka się swej przeszłości, swego języka, i swych właściwości oraz cech narodowych!

Patrzmy na anglików, niemców, oraz inne narodowości, które wszędzie na całym świecie język swój i narodowość zachowują, wszędzie pozostają sobą, i nigdzie się nie wynaradawiają. Bo i dlaczegóżby się mieli wynaradawiać, dlaczego języka swego zapominać? Czy ich kto za to w Brazylji prześladuje, czy im nauki w ojczystym języku zabrania, czy im obcą mowę przemocą i gwałtem narzuca? Zaiste nie, ponieważ Brazylja jest krajem wolnym, w którym każdemu wolno zgodnie z prawem miejscowym żyć tak, jak mu się podoba.

A może mi kto powie, że przyjechawszy do Brazylji trzeba zostać dobrym brazyljaninem, że się trzeba odwzajemnić za gościnność i za wszystkie swobody polityczne, jakoteż za dobrobyt materjalny, którego nam Brazylja dostarcza? Rzeczywiście tak jest; każdy, kto do tego kraju przyjechał, powinien czuć dla niego wdzięczność, szacunek i przywiązanie, powinien być możliwie jak najlepszym obywatelem, spełniającym ochotnie wszystkie obowiązki, jakie na niego prawa tego kraju nakładają, ale bez wyrzekania się swej narodowości, ponieważ mu to wcale do obywatelstwa brazylijskiego nie przeszkadza. Wszyscyśmy słyszeli o małym, szczęśliwym kraju europejskim, zwanym Szwajcarją, w którym żyją obok siebie trzy narodowości a mianowicie: Niemcy, Francuzi i Włosi, mówiący swemi rodowitemi językami, mający swoje zwyczaje i obyczaje, a będący mimo to dobremi Szwajcarami to znaczy obywatelami szwajcarskiemi. Zupełnie tak samo można być bardzo dobrym obywatelem brazylijskim nie prze-

stawszy być Polakiem, nie wyrzekłszy się swojej mowy rodzinnej i umiłowania wszystkiego, co polskie, a nawet polskich zwyczajów i obyczajów.

Prawdziwym wstydem i hańbą jest wynaradawianie się nasze w Brazylji, tym kraju wolności i swobód obywatelskich, w którym każdemu wolno mówić takim językiem, jakim mu się podoba i czuć, jak chce, byle tylko spełniał wszystkie obowiązki wobec swojej nowej ojczyzny, której ma rzeczywiście bardzo wiele do zawdzięczenia. Być dobrym obywatelem brazylijskim to nie znaczy koniecznie mówić tylko po portugalsku i żadnym innym językiem więcej; jeżeli każdy wykształcony brazyljanin uczy się innych obcych języków jak naprzykład francuskiego, angielskiego i niemieckiego, to dlaczegóżbyśmy my polacy nie mieli prawa obok portugalskiego mówić także językiem polskim, tymbardziej, jeżeli nie potrzebujemy się go umyślnie uczyć, jeżeli jest to nasz język rodowity, nasz język ojczysty, do którego od dziecka posiadamy wszyscy serdeczne przywiązanie? Spotykamy wielu brazyljan rozumiejących dobrze po polsku, a nawet mówiących tym językiem a mimo to przecież nikt im tego za złe nie bierze, nikt im wymówek z tego powodu nie czyni. Im kto więcej obcych dla siebie języków posiada, tym mu jest lepiej na świecie, a my mielibyśmy się dodrowolnie stawać uboższemi o jeden piękny język, o jedną wspaniałą mowę, w której tyle napisano prześlicznych poezji, tyle powieści, tyle książek naukowych? Byłoby to wysoce niegodne i musiałoby tylko wzgardę oraz brak poszanowania u obcych wzbudzać. Można pozostać dobrym polakiem i stać się równocześnie dobrym Brazyljaninem, to znaczy obywatelem brazylijskim po polsku mówiącym czyli **Polakiem brazylijskim**, który narodowości swej się wcale nie wyrzeka, mowy ojczystej nie zapomina, stosunków ze starym krajem nie zrywa, przeciwnie stara się o ich stałe utrzymanie spełniając mimo to wszystkie obowiązki obywatela brazylijskiego, godząc jedno z drugim bardzo dobrze i bez żadnego uszczerbku dla swej nowej ojczyzny. Ale pytanie, jakie są te obowiązki wobec nowej ojczyzny i jak je spełniać należy? Sprawa to zupełnie odrębna, którą osobno rozebrać należy, to też uczynię to innym razem w specjalnym temu pytaniu poświęconym artykule.

Wojciech Szukiewicz.

Pogadanki o zdrowiu i o chorobie.

Kochamy życie, żyć pragniemy, a zdrowie to życie. Bezeń życie wyda się smutne, jeżeli nie nędzne. Ani bogactwa i dostatki, ani wpływy i najwyższe dostojeństwa, ani najgłębsza nauka zastąpić nie mogą tego poczucia równowagi ciała, tego poczucia szczęścia, jakie tkwią w duszy człowieka zdrowego. Niczym są dlań przeciwności życiowe, nie złamią go ciosy, któreminas los tak często doświadcza, bo ma w sobie drogocenny skarb — zdrowie, które w nim urabia pogodny pogląd na świat, które nadaje jego postępowaniu cechy wytrwałości i pewności, które nasyca go poczuciem pewnej dobrodusznej wyrozumiałości, jaką zwykle odznacza się siła i energja.

Jeżeli spotkamy gdziekolwiek osobę wzrostu wyniosłego, mocnej a zgrabnej budowy ciała, osobę, która posuwa się krokiem pewnym a zręcznym, która odsłania twarz jaśniejącą zdrowiem, chociażby nawet piękną nie była, to bezwarunkowo zwrócimy na nią swoją uwagę. A cóż dopiero, gdy spojrzy na nas spokojnym, jasnym a przenikliwym okiem, gdy w uśmiechu rozchyli usta pełne równych białych zębów, gdy przemówi głosem dźwięcznym. Jakże inaczej patrzeć będziemy na chuderlawą, zgarbioną przedwcześnie postać, idącą ociężałym niezgrabnym krokiem. Wzrok niepewny, zamglony... cera wybladła lub pożółkła... zęby zepsute... głos niemiły, drażniący ucho.

Zestawiając te dwie postacie, bezwątpienia przechylimy się sympatją na stronę osoby dorodnej, dyszącej siłą i zdrowiem, nawet nie znając jej jeszcze, nawet nie wiedząc, czy wartość jej moralna odpowiada miłemu wyglądowi. Wydajemy sąd przedwczesny, narażając się na zawód... tak bardzo jest pociągający urok zdrowia.

Jeżeli odrzucimy te niezbyt zresztą liczne przypadki, kiedy chorobliwe, ułomne lub szpetne ciało kryje olbrzymie zasoby ducha — wielkie serce i wielki umysł, lub też kiedy dorodna a zdrowa postać służy za pokrywkę zgnilizny moralnej lub umysłowej nędzy, to przyznać musimy, że człowiek zwykły, przeciętny, taki, jakiego na każdym kroku spotykamy, który ani do bohaterskich czynów nie jest zdolny, ani do zbrodni lub świństwa się nie posunie, o ile tylko jest zdrów i silny, ma w życiu olbrzymią przewagę nad podobnie przeciętnym umysłowo i moralnie, ale upośledzonym pod względem sił i zdrowia. Zawsze bowiem jest zdolny do pracy, zawsze tę pracę łatwiej wyszuka, praca jego ma znacznie większą wydajność a straty w niej wskutek niezdrowia są bardzo małe. Człowiek zdrowy i silny znosi lepiej wpływy zewnętrzne, naprzykład: zimno, gorąco, brak wypoczynku, nadmiar pracy i t. p. i do tych wpływów prędzej i łatwiej się przystosowuje. Przysłowie „gdzie tłusty schudnie, tam chudego licho weźmie“ tłomaczy nam to dobitnie zwłaszcza, jeżeli wyraz tłusty przyjmiemy w znaczeniu „zdrów“, „silny“, „tęgi“.

Człowiek zdrowy łatwiej zakłada i utrzymuje rodzinę oraz dłużej może się opiekować dziećmi, które najczęściej są zdrowe i silne. Wreszcie, człowiek, któremu rzadko coś dolega, któremu wszystko łatwiej przychodzi, z konieczności musi być weselszy i skłonniejszy do wchodzenia w ściślejszą łączność z otoczeniem. Znajdzie czas na przeczytanie gazety, książki, na godziwą zabawę w gronie znajomych i przyjaciół, na uczestniczenie w życiu społecznym.

Człowiek słaby i chorobliwy najczęściej jest smutny, zgryźliwy i zazdrośny. Powoli robi się z niego odludek, stroniący od zdrowych, którzy go męczą swą ruchliwością i wesołością; nieraz nienawidzieć zaczyna tych, co są zdrowi i silni, za to tylko, że są zdrowi i silni. Popchnięty swemi dolegliwościami staje się samolubem, niechętnie usposobionym do wszelkiego udziału w życiu społecznem, do wszystkiego, co wykracza poza obręb najbliższych potrzeb i interesów. Będąc słabym fizycznie, nie ufając swym siłom, łatwo przecenia swą słabość, uprzedza sie do wszelkiego czynu, bo nie ma wiary, sądząc po sobie, w możliwość osiągnięcia jakiegoś celu.

Jeżeli nie jest zbyt ograniczony, to używa swych zasobów umysłowych do krytykowania wszystkiego, na co mu siły i zdrowie nie pozwalają. W krytyce swej łatwo przekracza granice, poczynając mieć w nienawiści wszystko, co jest siłą, energią, zdrowiem, co jest wolą, co jest czynem, a co przypomina mu na każdym kroku jego własną słabość, chwiejność, niepewność, chorobliwość, jego własną bierność.

Kochani czytelnicy! łatwo z tego wywnioskować, że należy dężyć do zawładnięcia skarbem, jakim jest zdrowie.

Zdrowie jest skarbem nietylko dla jednostki, lub rodziny pojedynczej, jest nim zarówno dla całych grup ludzkich, dla plemion, dla narodów.

Ludy słabo rozwinięte fizycznie łatwo ulegające chorobom, ustępują miejsca silniejszym i zdrowszym.

Zawładnąć skarbem zdrowia może tylko ten, kto rozumie potrzebę zdrowia, kto rozumie powody i przyczyny niezdrowia.

Indjanie północno-amerykańscy odznaczający się silną budową ciała, zahartowani w walce z przyrodą, są na wymarciu. Wyniszczyły ich choroby — ospa, przymiot, gruźlica i t. d., na spółkę z nałogiem pijaństwa. Nie rozumiejąc przyczyn, poddawali się złemu i ginęli, nie mogąc przeciwdziałać wymieraniu.

Wśród ludów bardziej uświadomionych oddawna już powstała myśl walki z chorobliwością, z słabością fizyczną. Stąd uprawianie gimnastyki, różnych zabaw, stąd coraz większe zastosowywanie na każdym kroku w życiu prywatnym i publicznym różnych przepisów zdrowotnych, które mają na celu ochronę i rozwój zdrowia.

Zdobyć zdrowie, zdobyte zachowywać, chronić od wszystkiego, co mu szkodzić może, stało się wielkim zadaniem spółczesnych najwyżej stojących społeczeństw.

Nasze społeczeństwo polskie, chociaż ograniczone w swoich zamierzeniach wskutek warunków politycznych, związane siłą z innemi społeczeństwami — obcemi, wrogiemi, mimo to żwawym krokiem podąża naprzód w pogoni za zdrowiem.

Towarzystwa gimnastyczne, sokoły i bartoszowe drużyny, najrozmaitsze sporty, wycieczki po kraju, ogródki dziecięce, zakłady zdrowotnicze, opieka nad matką, nad dzieckiem, nad robotnikiem i t. p. rzeczy, mające na celu zrobić polaka silnym i zdrowym, wszystko to rozwija się gorączkowo na ziemiach polskich.

Należy sądzić, że i polacy parańscy nie zechcą pozostać w tyle poza swemi braćmi z za morza, lecz śmiałą ręką sięgną po skarb zdrowia.

W walce z przyrodą, w borykaniu się z losem, jakie w tym kraju są naszym udziałem, zdrowie i siła, to nasz najlepszy sprzymierzeniec, to nasz najwierniejszy przyjaciel.

Pozyskajmy więc tego sprzymierzeńca, przywiążmy do siebie tego przyjaciela, starajmy się z nim nigdy nie rozstawać!...

W szeregu pogadanek następnych postaram się w krótkości wyłożyć, jak to można osiągnąć w najprostszy a niezawodny sposób.

Dr. Kossobudzki.

Pan Klapsztycki jedzie do Kurytyby.

Kurytyba — to stolica
Południowej Ameryki,
Tak ją chwalą te gazety,
Co to żyją z polityki.
Taka czysta jak dziewica,
Twierdzi serjo „Republica",
A i „Diario" nie próżnuje
I zalety jej wytyka.
Więc choć stary wróbel jestem
Na te plewy się złapałem
I z kolonji oddalonej,
Do stolicy się wybrałem.
A że dawno w niej nie byłem,
Osiem albo więcej latek,
Bo tak trudno się oderwać
Od małżonki i od dziatek,
Więc też tremę wielką miałem,
„Nic dziwnego" każdy rzeknie,
Kiedy z domu wyruszałem
Do stolicy, gdzie tak pięknie.

* * *

Podróż statkiem dni trzy, cztery,
Jadłem szarkę, fiżon stary...
Bardzo miła... bo w dzień muchy,
W nocy gryzły mię komary.
Zapach herwy, starych butów,
Zgniłej szarki i oleju...
Jak król spałem... na podłodze...
W dzień... „szymaron"... mosterdzieju.
Wreszcie gwizdnął przeraźliwie
„Kurytyban" spracowany,
Dobijając się do portu
W czas właściwy, obiecany.

* * *

Kurytybkę zwiedzić jadę,
Wszystkim rozgłaszam w Restindze
I swą dumę, niecierpliwość
Topię w kawie, topię w „pindze".
Kiedyż pociąg ?... Co ? spóźniony...
Hiobowe idą wieści,
Leży w rowie wywrócony,
Trupów, rannych, co się zmieści.
Pieszo przecie iść nie myślę...
Trudna rada, czekać trzeba,
Lecz depeszę o tem wyślę —
Do znajomych, nie do nieba.
Przeszła jedna... dwie godziny...
Świst okropny nam zwiastuje,
Że już pociąg galopuje.
Więc nabrałem dobrej miny —
Bilet w garści, kufer, laska...
Pociąg staje... tam u dyaska!...
Słychać płacz, stękania, jęki
Ofiar kolejowej męki.
Biedni ludzie! Krwią obficie
Broczą... z krwią uchodzi życie.
I złorzeczą najokropniej,
Zbyt naiwni, zbyt pochopni,
Uwieść się dali nadziei
W zaufaniu do kolei.
I o zgrozo! Bracia mili,
W tej wypadku strasznej chwili
Kolejarze, tracąc głowy,
Pomieszali członki ścięte. —
U nóg wiszą rąk połowy,
Nogi do ramion przypięte...
Ale ni czas myśleć o tem,
Cudzym męczyć się kłopotem —
Do wagonu — pociąg rusza
Wszystkim się raduje dusza.
Odjechali dwie, trzy staje
Nagle maszyna przystaje.
Krzyki... wrzawa... co się stało?
Cztery woły.. jak przystało
Na tych, co im cięży ciało. —
Ułożyły się na drodze
W swych żołądków niedomodze.
I nie chciały z przed maszyny
Ruszyć swojej cielęciny.
Bijąc, kłując, czym się dało,
Grzejąc parą woły srogie
Odpędziliśmy i w drogę.
Szło nam jako tako dalej,
Ale poza „Tamanduła"
Djabli muła nam nadali;
Rozcinamy tedy muła,
A dwie krowy, co po linji
Wędrowały do Serrynji,
Pochlastane na kotlety
Śmiercią zginęły — niestety!
Za Serrynją stado owiec
Krwawy zdobyło grobowiec.
Pasterz wściekły aż rwie włosy
Klnie, wyzywa pod niebiosy...
Ale nasza gilotyna,
Mówią też lokomotywa,
Ręce, jak Piłat umywa,
Całą parą w dal uchodzi,
Jak morderca albo złodziej,
W dal, co szara, w dal, co sina.
Oczywista — takie czyny
Zawsze źródłem są rozmowy,
Więc w wagonach wszystkie głowy,
Czy z tej, czy też z innej gliny,

Roztrząsają ofiar losy,
Kalkulują strat obfitość,
Aż powstają z zemsty włosy,
Aż ci serce ściska litość.
Lecz nad wszystkie głosów głosy
Ten tkwi do dziś w mej pamięci —
Głos rzeźnika z Ponta Grosy,
Który, widząc, co się święci,
Rrzekł z uczuciem i poważnie,
Że, gdy kolej tak odważnie
Zwalcza wołów, owiec stada,
Na to jedna chyba rada:
Podnieść wszędzie ceny mięsa...
Rzekł — i łzę pokryła rzęsa —
Ciemność nastała głęboka,
Że nie znajdziesz swego oka..
Zbliżamy się do stolicy,
Ale strach, strach bladolicy
Wystąpił na mojej twarzy,
Czy nieszczęście się nie zdarzy.
Co prawda się nie zdarzyło,
Opowiadać to tak miło,
Tylko był wypadek mały:
Na linji wagony stały,
Drzewa i żelaza pełne,
Rozmiażdżamy je na wełnę.
Giłotyna — uszkodzona,
Jakaś jejmość potłuczona...
Stać musimy trzy godziny
Aż zrobiono naprawiny.
Dobrze po północy wreszcie,
Ziąbłszy srodze w tym areszcie
Kolejowym — wyruszamy
Do stolicy pełnej cudów,
Ucierpiawszy tyle trudów,
Bez wypadku przybywamy,
Śląc do Boga głos wdzięczności,
Że dojechać dał w całości...

KILKA SŁÓW O HODOWLI ŚWIŃ.

I.

Jakkolwiek dobrze wiemy, że liczni koloniści polscy w Brazylji nie tylko głodu nie cierpią ale przeciwnie dobrze się mają i mogą być uważani za ludzi zamożnych, to jednakże skoro od przybytku głowa nie boli i nikt jeszcze nigdy nie narzekał, że ma za wiele pieniędzy, chcemy na tym miejscu zwrócić uwagę naszych Czytelników na znakomite a zupełnie zaniedbane źródło wielkich zysków a nawet bogactwa, mianowicie na hodowlę świń, mającą w Południowej Brazylji a więc w Rio Grande do Sul, S. Katarzynie i w Paranie świetną przyszłość.

Tym źródłem bogactwa jest nierogacizna, która z całego inwentarza żywego zdaje się najlepiej w tym kraju hodować: wiemy, że w lasach parańskich żyją stadami dzikie świnie, karmiące się orzeszkami piniorowemi, gwawirową i t. d. a więc najlepszy to dowód, że tutejszy klimat wywiera na nierogaciznę wpływ korzystny i że tym bardziej umiejętna hodowla świń powinna dać dobre wyniki i znaczne dochody.

Już się nie mówi o tym, że hodowla nierogacizny dostarcza koloniście nawozu tak koniecznie w gospodarstwie potrzebnego, i że nawóz świński jest ze wszystkich najlepszy, że posiadając go większą ilość można z większą korzyścią uprawiać rolę i ciągnąć z niej zyski, ale sama hodowla wieprzków jak należy wykarmionych jest doskonałym interesem, z którego bardzo wielu kolonistów może mieć nietylko doskonałe, obfite utrzymanie, ale nawet poważne dochody.

Rzecz prosta, że należy zaczynać od małego, to znaczy że na początek wystarczy koloniście jedna dobra maciora, naprzód bowiem należy hodowlę nierogacizny uważać tylko jako dodatek do całego gospodarstwa, a dopiero zwolna w miarę nabieranego doświadczenia i znajomości rzeczy można rozwijać hodowlę nierogacizny i z czasem przejść wyłącznie na tę gałąź gospodarstwa wiejskiego, czego nikt zapewne żałować nie będzie.

W tym miejscu każdy z Czytelników na pewne sobie pomyśli: bardzo to wszystko pięknie, ale chcąc hodować nierogaciznę nietylko na swój własny domowy użytek, lecz i na handel także, trzeba mieć czym karmić wieprze, a co ważniejsza trzeba znaleźć kupca na ten towar, bo inaczej płaca się nie opłaci.

Rzecz jest prosta i dlatego też zaraz postaramy się ją w kilku słowach wyjaśnić.

Przedewszystkim nie wystarczy mieć czym karmić wieprze, bo trzeba jeszcze wiedzieć, jak się to robi, inaczej do niczego się nie dojdzie. Otóż jest rzeczą ważną, aby pokarm stosować do wieku nierogacizny, inaczej bowiem należy się żywić młode a inaczej podrośnięte już wieprzki. I tak młode trzeba żywić lekko strawnym pokarmem z małym tylky dodatkiem zielonej paszy; tymczasem starszym można dawać już prostszy pokarm zarówno przez oszczędność jak i dlatego, że im to na zdrowie wychodzi. Kiedy już mają być sprzedane, wtedy oczywiście lepszy i posilniejszy pokarm przyspiesza tuczenie i daje wyborowy gatunek słoniny.

Niektórzy hodowcy nierogacizny uważają, że mleko zbierane, maślanka i serwatka są koniecznie potrzebne do karmienia warchlaków, szczególniej zaraz po odstawieniu od matki. Ale taki sposób karmienia jest możliwy tam tylko, gdzie istnieje gospodarstwo nabiałowe, gdzie jest wiele krów, gdzie się wyrabia wielkie ilości masła, tak że nie wiadomo co z mlekiem i maślanką robić. W Paranie, gdzie do tej pory krów jest mało, a i te, które są, dają nie wiele mleka, wskutek czego też wyrabia się bardzo mało masła, karmienie wieprzków zbieranym mlekiem, maślanką i serwatką jest na razie niemożliwe, i dlatego też trzeba szukać innych sposobów karmienia i tuczenia nierogacizny. Ale na szczęście w gospodarstwie znajdzie się jeszcze pokarm dla wieprzków dobry i dlatego też nawet bez gospodarstwa nabiałowego o hodowli nierogacizny w Paranie doskonale myśleć można.

Niejaki Karol Howard, który przybył do Stanu S. Paulo z Ameryki Północnej przed siedmnastu laty, powiada, że każdy kolonista brazylijski, oddający się hodowli nierogacizny, może liczyć na szybkie i wielkie zyski. Zacząwszy od bardzo skromnych początków doszedł dzisiaj do tego, że w »Chave Americana« przy drodze żelaznej Sorocabana Railway posiada farmę przynoszącą zaszczyt zarówno jemu samemu jak i całej Brazylji.

P. Howard posiada obecnie 2,000 akrów dobraj ziemi pod kulturą, uprawiając przeważnie kukurydzę, która, jak to później zobaczymy, jest dobrym pokarmem dla wieprzków, a cały swój tak znaczny dobrobyt zawdzięcza prawie wyłącznie hodowli nierogacizny i tuczeniu wieprzków na handel.

Trzeba wiedzieć, że w Brazylji trudno dostać szynki albo boczki, których cena jest bardzo wysoka, to też zbyt na ten towar jest zawsze zapewniony, i każdy kolonista, hodujący nierogaciznę, może być pewnym, że zawsze kupca znajdzie i swoje tuczne wieprzki po dobrej cenie sprzeda.

W drugiej części podamy niektóre wystarczające zupełnie wiadomości, odnoszące się do karmienia i tuczenia świń, aby sprawę tę kolonistom polskim ułatwić i dać im tą drogą możność dojścia prędkim sposobem do znacznej zamożności.

Z POLSKI.

Z Królestwa.

Sprawa Macocha i Macochowej.

W tych dniach naczelnik więzienia w Piotrkowie zawiadomił przedstawiciela władzy piotrkowskiej, że Helena z Krzyżanowskich Macochowa oraz Damazy Macoch pragną złożyć różne zeznania. Do więzienia udał się podprokurator sądu okręgowego a w jakiś czas potym do kancelarji więziennej wprowadzono Helenę z Krzyżanowskich Macochową. Oświadczyła ona podprokuratorowi, że chce wyjść za mąż za odsiadującego pięcioletnie więzienie za szpiegostwo polityczne, 30-letniego Stanisława Żebrowskiego, i prosiła podprokuratora o pozwolenie widzenia się z Żebrowskim. Ponieważ odpowiednie przepisy nie pozwalają na widywanie się więźniów, podprokurator odmówił prośbie Macochowej. Następnie Macochowa mówiła, że zna Żebrowskiego od dawna i pragnie wyjść za mąż dlatego, aby zmienić nazwisko. Macochowa jest przekonana, że izba sądowa ją uniewinni.

Macochowa siedzi w celi razem z kilku kobietami skazanemi za przestępstwa polityczne. Stanisław Żebrowski, jak już zaznaczyliśmy, został skazany przez warszawską izbę sądową i siedzi w więzieniu piotrkowskiem już przeszło rok. Żebrowskiemu nie rokują dłuższego życia, gdyż jest on zdeklarowanym suchotnikiem.

Następnie wprowadzono do kancelarji więziennej Damazego Macocha. Nie zmienił on się wcale; mówi spokojnie i logicznie i robi wrażenie człowieka zupełnie normalnego. Oświadczył on podprokuratorowi, że wobec tego, iż Macochowa oczerniła go przed wszystkimi w więzieniu i starała się zgubić go w sądzie, musi złożyć dodatkowe zeznanie. Twierdzi on obecnie kategorycznie, że Helena Ma-

cochowa była wtajemniczona w plan zamordowania Wacława Macocha. Zamordowawszy Macocha zdjął on mu z palca obrączkę i oddał ją Helenie. W sądzie Macoch inaczej zeznawał, ponieważ na kilka dni przed sprawą otrzymał kartkę od Heleny, w której pisała, że jeżeli Damazy powie prawdę, to ona się powiesi. Obecnie mu jest wszystko jedno, więc mówi prawdę.

Zeznania swoje Macoch obiecuje powtórzyć podczas rozpraw w izbie sądowej.

Ciekawy dokument.

Mieszkaniec Płocka, p. Karol Mierzejewski, właściciel majątku Rogozinek, daremnie nagabywany przez p. Arndta, z gub. kaliskiej, o sprzedaż majątku, otrzymał w tych dniach od niego list otwarty, niezmiernie charakterystyczny, tej treści:

»Wielmożny panie! Ponieważ pan mi nie chciał swego folwarku w maju sprzedać, że jestem niemiec — a jednak można w Płockiem znaleźć wiarołomnych polaków. Ja kupiłem około Drobina Dłużniewice Wielkie, tanio, 5 włók. Akt ma być spisany 14-go września 1912 r., a zaraz po akcie rozkolonizuję tylko samym prawdziwym niemcom i nikt mi już przeszkodzić w jednym tygodniu nie zdąży, może mi da się więcej takich znaleźć. Tego my, hakatyści, pragniemy tam, gdzie nam najbardziej przeszkadzają.

St p. Izbica«.

List ten, nie wymagający objaśnień, zachowała redakcja »Głosu płockiego«.

Z Galicji.

Hojny zapis.

Zmarły w Przemyślu emeryt, lekarz kolejowy dr. Szyszkowski, zapisał w testamencie 100,000 kor. na stypendja dla szkół Tow. szkoły ludowej i dla »Sokoła« przemyskiego.

Tragifarsa szpiegowska.

Wskutek mnóstwa awantur szpiegowskich, które w ostatnich czasach rozegrały się w Galicji, w niektórych okolicach zapanowała istna manja tropienia szpiegów. Cała atmosfera jest tak przesycona strachem przed szpiegami, że na tym tle powstawać muszą tragikomiczne nieporozumienia. Widownią takiej tragikomedji była niedawno, jak donosi korespondent »Słowa polskiego«, wieś Czernichowce w pow. zbaraskim.

We wsi tej i jej okolicy od dłuższego czasu popełniane były kradzieże, których sprawcy umieli zawsze skrzętnie za sobą zacierać wszelkie ślady i unikać w ten sposób karzącej sprawiedliwości. Trzeba było przeciwstawić owej tak dobrze zorganizowanej bandzie tęgiego Sherloka Holmesa i z tej też przyczyny wysłano do Czernichowiec ajenta rządowej policji z Tarnopola.

Ajent wybrał się na łowy i pojechał do Czernichowiec, a że w arkanach policyjnych jest nader biegły, postanowił najpierw zbadać teren na miejscu. Widząc zebranych w karczmie kilkunastu chłopów ruskich, wstąpił do niej, aby »zasięgnąć języka«, a może i uchwycić zgrabnie nici, któreby go zaprowadziły do kłębka pogmatwanych kradzieży czernichowskich. Przybycie nieznajomego człowieka do karczmy było widać w życiu chłopów czernichowieckich wydarzeniem pierwszej klasy, gdyż zwrócili na niego całą swą uwagę. Ajent zgrabnie począł zapuszczać sieć, rzucił kilka frazesów na temat pogody i żniw, gdy nagle u zebranych obywateli czernichowieckich błysła jedna myśl »Szpihun!« Dwu starych niespostrzeżenie wymyka się z karczmy i pędem goni po »naczalnyka«. Zastają go w domu, opowiadają o tym, jako jakiś nieznajomy bawi w karczmie i katagorycznie twierdzą, że jest on »szpihunem« niebezpiecznym, którego trzeba aresztować i odstawić do starostwa.

»Naczalnyk« zaczyna urzędować w całej okazałości. Wzywa dwu »prysiażnych« i strażnika gminnego i posuwistym krokiem sunie do karczmy. Zziajany jak i jego towarzysze, radując się przyszłym połowem, staje w jej progu, a gdy zebrani rozstąpili się i zrobili miejsce, woła z daleka, że w imieniu prawa aresztuje nieznajomego i wzywa go, aby się natychmiast wylegitymował.

Ajent, który w niejednej był tarapacie, znalazł się w przykrej sytuacji. Przybył, jako »oko władzy«, czujne i przewidujące, aby działać w imieniu prawa, a tu na wsi sprawa cała na opak się przewraca; ufny jednak w moc swojej legitymacji, którą zabrał ze sobą, pewien był, że z jej okazaniem cała sprawa, chwilowo dla niego nieprzyjemna, zakończy się. »Naczalnyk« tymczasem kilkakrotnie obrócił legitymację ajenta w prawo i lewo, w dół i do góry, patrzał w wewnętrzną okładkę i na pismo, wewnątrz pomieszczone i... dumał. Jego naczelnikowska mość był niepiśmienny, był analfabetą.

Wiedzieli o tym chłopi i spoglądali na niego, a on tymczasem obwieścił obecnym swe zdanie, że należy iść »do pysara«. Kilkadziesiąt głosów krzyknęło groźnie: »Do pysara«! Z karczmy wysunął się spiesznie oryginalny pochód. Na czele w pełni powagi swego urzędu kroczył »naczalnyk«, tuż za nim »prysiażni«, obok ajenta strażnik, czyli tak zw. popularnie na wsi »warta«, z »paragrafem« (ruskim) w ręku, w tyle wojowniczo usposobiony tłum chłopów. Po drodze pochód rośnie, łączą się dzieci i białogłowy i tak po dłuższej chwili stają wszyscy u »pysara«, który wychodzi przed chatę, wywołany z niej szmerem, zbliżającego się krzykliwego tłumu

Podano legitymację »pysarowi«, który długo wpatrywał się w jej tenor i mruczał coś półgłosem Zastanowiło go zlanie, które zezwoliło nosić broń ajentowi. Po dłuższej pauzie orzekł pisarz, że legitymacja jest... podejrzaną i zaproponował, aby powołać do narady bawiącego przypadkowo »egzekutora« podatkowego. Wójtowi myśl ta bardzo się podobała i wysłał zaraz »stójkę« po »egzekutora«. Przybył wnet wezwany i rozpoczęła się narada wójta, pisarza i egzekutora. Legitymacja przechodziła od jednej ręki do drugiej i ku utrapieniu ajenta, rozległ się wyrok: »Szpihun«!

Ajenta wprowadzono tymczasem do izby i tu wójt wydał rozkaz przeprowadzenia rewizji osobistej, wyrażając go słowy: »Rozbyraty sia«! Wielkie jednak zrobił oczy, gdy ajent oświadczył, że się nie podda rewizji i nie odda w myśl polecenia wójta rewolweru. Gdy wójt stawał się coraz bardziej natarczywym, ajent oświadczył, że podda się rewizji, jeżeli jej dokonają żandarmi. Wójt usłuchał i wysłał po nich furę do najbliższego posterunku, a koło ajenta ustawił straż z dwu parobków.

Mija tymczasem godzina jedna, druga... szósta, zanim do chaty wkroczyli żandarmi. Przeglądnęli legitymację i tu następuje zmiana sytuacji. Ajent z opresji srogiej dostaje się »na wolność«, a wójt popada w strapienie, gdy któryś z żandarmów zwrócił mu uwagę na następstwa czynu tej natury, co ograniczenie wolności osobistej, czy przeszkadzanie w urzędowaniu.

Ach! gdybyż »za karę« takiego »naczalnyka« nauczono przynajmniej czytać! Naczelnik gminy analfabetą! Więcej w tem tragedji, niż farsy.

Ze Szląska.

Agronom pruski.

Trudne do wiary stosunki panują — według opisu »Lecha« gazety gnieźnieńskiej — we wsi Radlinie, pod Jerocinem. Niedawny proces, jaki wytoczył przed sądem jarocińskim ekonom Nobe tamtejszemu proboszczowi, ks. Golskiemu, występującemu w obronie swych parafian, wykazał, że Nebe ludzi nazywał polskiemi świniami, że najniesłuszniej strącał im z zarobków, że pewną 70-letnią staruszkę umieścił w chlewie świńskim, a następnie w gorzelni, gdzie staruszka, pozostawiona zupełnie bez opieki, skutkiem mrozu i głodu — było to w styczniu — zmarła. Nebe przytym pod przysięgą czynił zeznania, które okazały się nieprawdziwemi, tak, iż sędzia w wyroku sam na to zwracał uwagę. Teraz stosunki w Radlinie pogorszyły się jeszcze. D. 18. z. m. robotnika Kaźmierczaka na podwórzu w straszliwy sposób pobito i sponiewierano. Oprócz licznych obrażeń na piersiach, rękach i nogach, otrzymał uderzenie kijem kauczukowym w głowę, które wywołało głęboką ranę. Pobity wniósł skargę do prokuratorji przeciwko Nebemu i drugiemu ekonomowi, Schröderowi. Kaźmierczak skutkiem pobicia zapadł na zdrowiu i przestał chodzić do roboty, więc wymówiono mu miejsce. W kilka dni potym żonę Kaźmierczaka, kobietę słabowitą i będącą w stanie błogosławionym, Schröder pobił ciężko grubym kijem, nazajutrz zaś, spędzając krowę z pastwiska, bił ją okrutnie i strzelał do niej z fuzji. Gdy za katowanym stworzeniem ujął się robotnik Orłowski, Schröder strzelił do niego, a gdy ciężko raniony padł na ziemię, wijąc się w strasznych boleściach, Schröder zmierzył się do córki Orłowskiego, ale nadbiegli inni robotnicy wydarli mu broń, a samego poturbowali.

O przywóz mięsa.

POZNAŃ. Zarząd miejski postanowił zwrócić się niezwłocznie z petycją do kanclerza o pozwolenie przywożenia mięsa wołowego i baraniego z Rosji.

❀ ❀ ❀

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Zakotłowało się na półwyspie bałkańskim. Turcja ma już do czynienia nie tylko z Włochami, ale z prawdziwym zjednoczeniem Grecji, Serbji, Czarnogóry i Bułgarji. Wszystkie te państwa na gwałt uruchomiają swe armje i skupiają je u granic Turcji.

Jeżeli prawda, co mówią depesze, to Grecja właściwie już wojnę wypowiedziała, a jej przedstawiciel opuścił Konstantynopol.

Bułgarja posłała Turcji wezwanie do opuszczenia Macedonji; śladem jej poszły Serbia i Czarnogóra, żądając zupełnego samorządu dla trzech wilajetów (okręgów) macedońskich: salonickiego, monastyrskiego i kossowskiego.

W odpowiedzi na to Turcja zatrzymała sto kilkadziesiąt statków greckich, które się na jej wodach znalazły, i zarządziła mobilizację czterech korpusów.

Chociaż położenie wewnętrzne Turcji przedstawia sie bardzo smutnie w chwili obecnej, jednakże na wieść o zamierzonej napaści sąsiadów stronnictwo młodotureckie, które było w opozycji wzgledem rządu obecnego, oświadczyło, że udzieli rządowi zupełnego poparcia.

Wogóle zrozumienie niebezpieczeństwa i wzrost samopoczucia narodowego skupiły w Turcji wszystkie siły rozbudzając w narodzie zapał wojowniczy.

Zdaje się, że rokowania pokojowe z Włochami są na dobrej drodze; prawdopodobnie w tych dniach nastąpi zawieszenie kroków wojennych, jako wstęp do zawarcia pokoju.

Położenie krytyczne Turcji, rozumie się, Włochy potrafią wyzyskać, przy zawieraniu pokoju, którego lud włoski, a zwłaszcza świat robotniczy, pragnie bardzo.

Z drugiej strony Turcja, będąc zabezpieczoną od strony Włoch z całą siłą będzie sie mogła rzucić na swych bałkańskich przeciwników. A siły jej wojskowe są bardzo poważne. Żołnierz turecki jest odważny, bitny, wytrzymały i dobrze uzbrojony. Reformy, przeprowadzone w wojsku tureckim przez oficerów niemieckich, nadały mu sprężystą organizacją i zaopatrzyły je we wszystkie udoskonalenia techniki wojskowej.

Turcja bez wysiłku może wysłać na plac boju 900 tysięcy wyborowego żołnierza.

Z przeciwników Czarnogóra może dać do 50 tysięcy bitnej piechoty z dość słabą artylerją, Serbja i Grecja, każda, choć ma na papierze po 300 tysięcy, nie jest w możności uruchomić więcej, niż po 150 tysięcy żołnierza, tymbardziej, że opłakany stan funduszów obu tych państw nie pozwala im na zbyt wielkie wysiłki wojenne. Jedna tylko Bułgarja ma armię dobrą i dość liczną, bo na stopie wojennej do 400 tysięcy liczącą. Przewaga tak pod względem ilościowym, jak i pod względem jakościowym okazuje się po stronie Turcji, która przytym ma wielu bardzo wykształconych i doświadczonych dowódzców.

Podejrzywają, że za plecami państw bałkańskich ukrywa się Rosja, która gwałtem chce odzyskać utracone wpływy na półwyspie bałkańskim i która zapewne myśli o wyłowieniu dla siebie jakiego tłustego kąska w bałkańskim zamęcie. Donoszą nawet, że Rosja po cichu ściąga silne oddziały wojska ku granicy rumuńskiej. Z państw bałkańskich jedna tylko Rumunja nie uczestniczy w zamierzonej napaści na Turcję. Przeciwnie, poseł rumuński oświadczył osobiście sułtanowi, że Rumunja zachowa zupełną bezstronność w przewidywanym starciu. Znać w tym rękę Austrji, której kierownik polityki zagranicznej hr. Berchtold niedawno był serdecznie podejmowany na dworze rumuńskim. Austrya sama też gromadzi wojska w Bośnji i Hercegowinie, aby na wszelki wypadek być w pogotowiu.

Wielkie mocarstwa starają się szczerze, czy nieszczerze powstrzymać wybuch wojny, która mogłaby stać się wstępem do ogólno-europejskich zawikłań. Wszelkie inne sprawy zeszły na plan drugi. Rosyjski minister spraw zagranicznych Sazonow porozumiewa się osobiście na miejscu z rządami angielskim i francuskim.

Dn. 7. b. m. telegraf doniósł, że pomiędzy Turkami i Czarnogórcami doszło do potyczki, w której Czarnogórcy stracili stu zabitych i wielu rannych, oraz zostali odepchnięci na terytorjum czarnogórskie. Jednocześnie w małym starciu na granicy turecko-bułgarskiej zabitych zostało trzech żołnierzy bułgarskich.

Nic to nie znaczy. Na pograniczach państw bańskich od czasu do czasu zdarzają się podobne wymiany sąsiedzkich grzeczności, ale dotychczas się kończyło na wzajemnych przeprosinach.

W każdym razie ani pobrzękiwania szabelką państewek bałkańskich, ani srożenie się Turcji nie doprowadzą do wojny, bo do tego nie dopuszczą wielkie mocarstwa. Prawdopodobnie pod ich naciskiem Turcja ustąpi i kto wie, czy tym razem Macedonia nie uzyska jakiej papierowej autonomji.

Należy mieć na uwadze, że zbliża się zima. W górzystej Macedonji kampanja zimowa jest utrudniona i kosztowna, co też przypuszczalnie stać się może jedną z największych pobudek do tymczasowego utrzymania pokoju na Bałkanach.

Portugalia uroczyście obchodziła w dniu 5. b. m. drugą rocznicę ogłoszenia rzeczpospolitej, której byt zdaje się być utrwalony zwłaszcza po wyniesieniu się do Brazylji uczestników monarchicznej ruchawki kapitana Couceiro.

Nic nie pomogą manifesty zdetronizowanego Manuela, który podobno wstępuje do marynarki austryackiej.

KRONIKA PARAŃSKA.

Zaraza wśród bydła. Nieznana jakaś zaraza grasuje wśród koni i bydła rogatego na stepach Palmas, dziesiątkując je w całym południowo-wschodnim pasie nadgranicznym. Dziesiątki sztuk padają dziennie ofiarą tej nowej zarazy w różnych fazendach, do tej pory bowiem nie odnoszą żadnego skutku różne środki stosowane w celu zwalczania zarazy, a właściciele stad bydła i koni są do tego stopnia strwożeni, że nie chcą nawet użytkować skór w obawie rozszerzania choroby tą drogą.

Następstwa tej klęski występują w podrożeniu mięsa w całym stanie. Tegoroczna produkcja mięsa jest już zupełnie stracona, a ponieważ od stycznia zacząwszy fazenderzy nie będą mieli wcale bydła na sprzedaż, przeto położenie ich wobec przyjętych na siebie zobowiązań jest bardzo niepewne. W municypjum Palmas istnieją majątki, gdzie padło już przeszło 200 sztuk bydła.

Rzecz prosta, że obecnie cała nadzieja w świeżo zorganizowanym Sekretarjacie Rolnictwa, który powinien zabrać się energicznie do zwalczenia tak zgubne skutki pociągającej za sobą zarazy. Tymczasem zaś trzeba również pomyśleć o dostarczeniu spożywcom innego mięsa, które można sprowadzeć z Matto Grosso, a to w celu uniknię-

cia nadmiernej drożyzny, w przeciwnym bowiem razie łatwo stać się może, iż cena mięsa podskoczy do półtora milrejsa i to jeszcze mięsa podejrzanego a bodaj nawet niezdrowego. Miejmy nadzieję, że władza zabierze się szybko do zapobieżenia klęsce i nie dopuści do podwyższenia cen i tak już bardzo wygórowanych.

Rewolucja monarchistyczna w Kurytybanos. — Jak zwykle bywa z wielkiej chmury mały deszcz. Po zbytecznych alarmach, które zaniepokoiły całkiem niepotrzebnie opinję bubliczną, tak zwana rewolucja monarchistyczna w stanie S. Catharina, która nie była niczym innym, jak niemądrą zabawką kilkuset ciemnych kabokli, co dali się wywieść w pole niby-mnichowi i niby-prorokowi João Maria, skończyła się prędzej, niż się zaczęła, jak się należało z góry spodziewać. Wysyłanie wojska federalnego przeciwko bandzie obdartusów sfanatyzowanych i podburzonych przez sprytnego kuglarza tam, gdzie byłoby w zupełności wystarczyło wysłanie mocnego oddziału policji stanowej, nie przynosi wcale zaszczytu ani władzom federalnym, ani też wojskowym, które mogły były znaleźć godniejszego siebie wroga i nie wystawiać się na pośmiewisko wszystkich, choć trochę myślących ludzi. Będzie to zapewne skuteczną nauczką na przyszłość i nic podobnego już się bodaj nie powtórzy.

Energicznie ale skutecznie. Koleje żelazne w Paranie słyną z tego, że całkowicie niedbają o publiczność, o interesy materyalne handlu i przemysłu. Nie mówiąc już o niesłychanie wolnym nieledwie- żółwim biegu pociągu, o ustawicznym opóźnianiu i o ciągłych wypadkach prawie zawsze połączonych z śmiercią lub poranieniem nieszczęśliwych pasażerów, na wielu stacjach spotykamy nagromadzenie się olbrzymich ilości różnych produktów, które ulegają zniszczeniu, oczekujac na wagony. Napróżno pisma protestują, bez skutku brzmi głos poszkodowanych. Przed kilku dniami Dr. Pamphilo de Assumpçao (Pamfilo de Asumpsą) prezes zjednoczenia kupców napisal bardzo energiczny artykuł w „Diario da Tarde“ w tej sprawie. Przedtym jeszcze mieszkańcy Piraquary, oburzeni porządkami kolejowemi, podpalili wagony i nie wiele brakowało do zupełnego pogromu stacji.

Inaczej postąpili mieszkańcy Araukarji.

W ilości kilkudziesięciu uzbrojonych ludzi zatrzymali towarowy pociąg gwałtem, wagony próżne naładowali drzewem, od długiego czasu napróżno oczekującym na wysłanie. Zarząd kolei uczuł się zmuszony ustąpić „woli ludu“ i w ten sposób drzewo parańskie zamiast gnić na deszczu w Araukarji, poszło w świat. Okazuje się, że sposoby, które gdzieindziej prowadzą wprost do kozy, na kolejach parańskich prowadzą do celu.

Może niezadługo tylko z rewolwerem w ręku uda się wymusić większą czystość wozów i punktualność w kursowaniu pociągów. Szkoda tylko, że nawet tak energiczny środek zapobiedz nie może wykolejaniu się pociągów i stoczeniu się w przepaść którego z nich na linji do Paranaguy, co niezawodnie stać się wreszcie musi, jeżeli stanowczo nie będzie usunięte dotychczasowe lekceważenie życia i kieszeni pasażarów oraz interesantów.

Krewki komisarz policji. — W Ponta Grossie komisarz policji, porucznik Agostinho da Silva, kazał bez procesu aresztować pewnego młodzieńca i wsadzić do kaźni, gdzie go zbito podług wszelkich przepisów. Ludność oburzona wysłała do szefa policji żądanie usunięcia krewkiego pana komisarza, zaopatrzone w kilka set podpisów najwybitniejszych osób z miasta. Miejscowa dyrekcja polityczna jak również i kamera municypalna wystosowały takie samo żądanie. Bezwątpienia podobna samowola, przypominająca nam stosunki rosyjskie, będzie ukarana, ale w danym razie sprawa dotycze człowieka ze sfer w Ponta Grossie uprzywilejowanych. Pytanie, czy opinia publiczna byłaby tak podniecona, gdyby szło o kogoś... mniej wpływowego. Koloniści polscy wiedzą coś nie coś o tym.

Zgon. P. Jan Żubiński, wice-prezes Towarzystwa ,,Oświata“ w Ponta Grossie, w tych dniach miał nieszczęście. Stracił synka na płonicę. Strapionym rodzicom przesyłamy wyrazy serdecznego spółczucia.

Zaćmienie słońca. Do Brazylji przybyli astronomowie angielscy, francuscy, argentyńscy i inni w celu obserwowania zaćmienia słońca, które odbędzie się w dn. 10 b. m. Główne punkty obserwacyjne są w Minas Geraes w miasteczkach Passo Quatro, Christina i Alfenas.

W całym szeregu miejscowości w stanach Rio de Janeiro, Minas i Sao Paulo będzie można spostrzegać to ciekawe zjawisko.

Adres Redakcji i administracji:

„NIWA“

Curityba, rua Ebano Pereira, Nr. 20.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 1. do 3. pop.

Prenumerata wynosi rocznie 8$000

Pojedynczy numer kosztuje 200 rs.

Prenumetę przyjmuje w Kurytybie: Wiktor Stachoń, rua Commendador Araujo, Nr. 2. Tamże sprzedaż pojedyńczych numerów.

Lekarstwo przeciwko kleszczom.

W piśmie rolniczym ,,Revista Agricola Mineira“ znajduje się przepis na lekarstwo przeciwko kleszczom, które podaje znany rolnik p. H. Jansen, doświadczony hodowca bydła. Ręczy on za dobry skutek tego lekarstwa o ile jest stosowane systematycznie to znaczy się stale.

Przepis podajemy po portugalsku, ażeby każdy mógł sobie sam lekarstwo przyrządzić, kupując części składowe w handlu aptecznym:

Sal	97%
Enxofre	2%
Sulfato de ferro . .	1%

(Sal znaczy po polsku sól. Enxofre znaczy siarka, a sulfato de ferro znaczy siarczan żelaza).

A więc na sto części tej mieszaniny bierze się 97 części soli kuchennej, 2 części siarki, wreszcie 1 część siarczanu żelaza. Lekarstwo daje się bydlu rogatemu, koniom i owcom co miesiąc ile zechcą.

Ponieważ lekarstwo jest tanie przeto można go sprobować.

HASŁA „NIWY“.

Kupą, bracie dąż do celu
W zgodzie i miłości!
Sam nie zdziałasz, zdziała wielu
Dla dobra ludzkości.

Dał nam los pochodnię w ręce,
Co się polską duszą zwie,
Czy w weselu, czy też w męce,
Światło nam ożywcze śle.
Dbajmy by nie zgasła,
To są „Niwy“ hasła.